

DARIUSZ DOMAGALSKI

KIBOLE WSPÓŁCZEŚNI WOJOWNICY FELIETON

Przeżazona jednostka szuka czegoś albo kogoś, do kogo mogłaby się przywiązać, niezdolna jest już dłużej być swoim własnym, indywidualnym "ja", desperacko usiłuje pozbyć się go i poczuć znowu bezpieczna, zrzuciwszy to brzmie własnego "ja".

Erich Fromm – „Ucieczka od Wolności”

Mundial, mundial, mundial – to słowo rozbrzmiewa teraz niczym mantra na ustach wszystkich kibiców, pojawia się w nagłówkach gazet, w telewizyjnych serwisach informacyjnych i znowu, jak co cztery lata, elektryzuje cały świat. Można usiąść w wygodnym fotelu i przez miesiąc delektować się tym festiwalem sportu, wspaniałymi akcjami w wykonaniu najlepszych piłkarzy globu. Na szczęście polska drużyna nie zakwalifikowała się na mundial, więc odpadają stres, frustracja i gorączkowe przeliczanie szans, a pozostaje radość z oglądania meczy na najwyższym poziomie.

Od kilku dobrych lat nie śledzę wyczynów naszych kopaczy (profanacją byłoby nazwać ich piłkarzami) podczas ligowych zmagania, chociaż w pewnym okresie życia ów sport był moją pasją. Grałem w lidze juniorów, mam nawet zaliczony mecz na trzecioligowym szczeblu, a jako kibic chodziłem na stadiony i nieraz bywałem w tzw. młynie.

Niestety, kontuzja kolana przerwała moją świetnie zapowiadającą się karierę piłkarza, pozbawiając mnie tym samym międzynarodowej sławy, prestiżu i wielkich pieniędzy. Teraz próbuję swoich sił w pisaniu, ale w tej „dyscyplinie” nie ma co liczyć na podobne profity. Tak więc namiętność do piłki kopanej wygasła, wykopana przez marazm naszej szarej, piłkarskiej rzeczywistości.

Jednakże jest coś, co sprawia, że ponownie budzi się we mnie dawna namiętność, że podnosi ona głowę, chcąc wychynąć z czeluści zapomnienia. Wówczas moje serce płonie, w oku pojawia się drapieżny, wikingowy błysk. Tak reaguję, gdy polska reprezentacja gra o... hmm... chciałem napisać: „o najwyższą stawkę”, ale napiszę, że kiedy po prostu „gra”. Wtedy wychodzą ze mnie wszystkie atawizmy, dają upust emocjom oraz iście barbarzyńskim zachowaniom: klnę, zaciskam pięści, krzyczę na całe gardło jak szkocki góral w bitwie pod Stirling. Gotów jestem cieszyć się i smucić wraz z innymi, podobnymi mi szaleńcami. Łączę się mentalnie z kibicami w całym kraju i wtedy jesteśmy niczym startreckowy Borg — jedną jaźnią, sercem, umysłem.

Jeśli, siedząc przed telewizorem z orzeszkami i butelką piwa (a coraz częściej z ziółkami uspokajającymi), odczuwam społeczną więź, to wyobraźcie sobie, jak to musi wyglądać na stadionie. Tam niemal namacalnie można doświadczyć krążących w powietrzu emocji, zapachu adrenaliny i skumulowania potężnej energii, która nie zawsze jest pozytywna.

W ten oto sposób dochodzimy do głównego tematu tego felietonu: kibole, pseudokibice, ultrasi... W opinii społecznej zwykli bandyci, chodzący na mecze, żeby wywołać burdę, wyrwać ławki, podpalić śmietniki lub obrzucić wulgaryzmami Policję. Stadion służy rzeczonym kibolom za ogromny ring, na którym odbywają sparingi z kibicami drużyny przeciwnej — piorą się po mordach, roztrzaskują sobie łby, dając upust agresji, swojemu barbarzyńskiemu nieokrzesaniu, mając w pogardzie dorobek cywilizacyjny. Natomiast prawdziwy kibic przychodzi na mecz dopingować ukochaną drużynę, poczuć emocje, odprężyć się, a potem chce bezpiecznie wrócić do domu. Jednak chciałbym, żebyście

spojrzeli na pseudokibiców nieco inaczej, ugryźli problem od drugiej strony, zerknęli okiem wikinga...

Zacznijmy od potrzeby przynależności plemiennej, której postęp cywilizacyjny nie był w stanie wykorzenić. Pomimo tego, że w mediach na każdym kroku gloryfikowany jest indywidualizm, to nadal tkwią w nas atawizmy. Potrzebujemy zastępczej formy wzajemnego iskania, poczucia wspólnoty, które było udziałem naszych przodków. A współcześnie?

Przyjrzyjmy się kibicom. Na meczach grupują się w tzw. młynie, gdzie wspólnie tańczą, krzyczą, śpiewają, wierząc, że dzięki temu ich drużyna zwycięży. Są to typowe, charakterystyczne dla pierwotnych wspólnot obrzędy paramagiczne. Na szyjach dumnie noszą kolorowe szaliki, które określają ich przynależność, ale pełnią również rolę talizmanów. Śmieszne czapeczki i ubrania w barwach ulubionej drużyny, są niczym szamańskie stroje obrzędowe. Niegdyś różnokolorowe tarcze herbowe ubarwiały szranki podczas turniejów rycerskich, dzisiaj szaliki i czapeczki upiększają stadiony. Zdobycie szalika członka wrogiej drużyny jest jak pochwylenie sztandaru podczas średniowiecznej bitwy. Oznacza triumf, chwałę, zwycięstwo i hańbę pokonanych. Bardziej zapaleni kibice malują twarze barwami swojej drużyny i wtedy do złudzenia przypominają szkockich wojowników wyjętych wprost z filmu *Braveheart* — *Waleczne Serce*. I z równą, charakterystyczną dla berserków energią, rzucają się do walki, a raczej stadionowej bójki.

Tak oto wygląda nowa plemienność, która pod względem symbolicznym niczym się nie różni od tego, co czynili nasi przodkowie. Zmieniły się jedynie czasy. Obecnie polem bitwy jest stadion, wrogami — kibice drużyny przeciwnej, a pretekstem do wojny... Cóż, pretekst do wojny od wieków pozostaje niezmienny: dążenie do dominacji własnej grupy społecznej.

Czy w takim razie kibiców możemy nazwać współczesnymi wojownikami?

Przyjrzyjmy się temu zagadnieniu w kontekście rycerstwa. Zacznijmy od bitew. W średniowieczu najskuteczniejszą formacją ataku stanowiło ustawienie kolumnowo-klinowe. Na czele, w klinie, jechali najprzedniejsi rycerze kopijnicy, za nimi zaś w kolumnie strzelcy szyjący do wroga z kusz. Atak współczesnych grup kibiców opiera się mniej więcej na podobnej taktyce. Najwięksi twardziele zawsze uderzają pierwsi. Pewni swojej siły, nie kryją się za słabszymi. Ci zaś, zanim dochodzi do zwarcia, zdołają przeciwników obrzucić kamieniami.

Ale średniowieczni rycerze uczestniczyli w wojnach! — zakrzykniecie. Zgoda, ale te wojny to nic innego, jak burdy lokalnych władków, feudałów i książątek. Rycerze nie walczyli dla króla i ojczyzny, a częściej dla łupów, wojennej sławy i co tu kryć, wyżycia się. Czy motywy działania ultrasów są inne?

Natomiast „ustawki” kibiców to nic innego, jak nowa forma rycerskich turniejów, w których oprócz pojedynków jeden na jeden, odbywały się również tzw. malée, gdzie walczone drużynowo. Mogłoby się wydawać, że turniej to rodzaj zawodów sportowych pod pełną kontrolą. Nic bardziej mylnego. Zdarzało się, że na turniejach ginęło więcej rycerzy, niż podczas walnych bitew. Obecnie przecież mamy zalegalizowane „ustawki” w formie zawodowych walk na ringu bokserskim czy MMA. I tego jakoś nikt się nie czepia. Jednak honorowe walki pseudokibiców są już przez Policję ścigane.

Kolejna rzecz to właśnie wspomniany przed chwilą honor. Kibicom można odmówić zdrowego rozsądku, rozumu — ale nie honoru. Za członkiem ich niewielkiej społeczności staną murem i nie będą filozofowali nad zagadnieniem jego winy. Danego słowa (w przeciwieństwie do polityków) nie łamią, pod przyjaciółmi dołków nie kopią, słabszych ochronią i, jak średniowieczni rycerze, posiadają damy swojego serca. To dla nich zrywają pawie pióra z hełmów swoich wrogów, czyli szaliki z szyi kibiców wrogiej drużyny.

Innym aspektem jest rasizm na stadionach. To bardziej złożony problem niż nam się wydaje. Z badań przeprowadzonych przez Uniwersytet Warszawski wynika, że tolerancja Polaków jest tylko deklaratorywna. Może jest tak, że czarnoskóry gracz obrzucany podczas meczu bananami jest dla pseudokibiców współczesnym saracenenem, obcym kulturowo i obyczajowo, a oni sami stanowią awangardę naszej narodowej ksenofobii?

Tak więc, „kibole”, choć sami nie są tego świadomi, wpasowują się w rolę współczesnych wojowników, krzyżowców, gladiatorów i rycerzy.

Należy zatem sobie zadać pytanie, czy to przypadkiem nie oni stanowią sól naszego społeczeństwa? Współcześnie istnieje pogląd, że mężczyzna powinien stawać do walki tylko w obronie własnej, swojej rodziny, kobiety tudzież ojczyzny, ale tylko w „wojnach sprawiedliwych”. Doprawdy nie wiem, jak zwyczajny zjadacz chleba ma rozstrzygnąć problem czy wojna, w której uczestniczy jego naród jest sprawiedliwa, czy też nie? No, ale od tego, żeby nam to uświadomić mamy światłych i wypełnionych moralną etyką polityków. Jednak nie o nich teraz mowa. Zastanawiam się, jak mężczyzna, który używa siły tylko w sytuacjach wymienionych powyżej, nielicznych przecież, ma nagle wykrzesać z siebie ducha bojowego i zabłysnąć umiejętnością walki. Możemy naiwnie zakładać, że w konfrontacji z bandziorem „siły dobra” wspomogą owego rycerza w białej zbroi, z mocno nasuniętymi na nos okularami, który dostaje zadyszki, gdy wstaje od biurka... lub wierzyć, że kursy karate nauczą go, oprócz młócenia pięściami powietrza, brutalnej, ulicznej walki i, że MOC będzie z nim. Ja jednak obstawiałbym zahartowanego w bójkach draba z bejsbolem.

Kasta wojowników od wieków stanowiła o sile społeczeństwa, więc może warto pomyśleć o ukierunkowaniu agresji pseudokibiców i zaprzęgnięciu ich w struktury wojskowe?

Wiem, że to co napisałem wygląda jak pochwała „siły”, ale tak nie jest. Tak naprawdę ludzie demolujący stadiony, palący ogniska na płytach boiska, wrywający krzeselka są słabi, zagubieni i niedowartościowani. Felieton nie bez powodu rozpocząłem cytatem z Fromma.

Wszyscy pragniemy należeć do jakiejś grupy społecznej. Jesteśmy zwierzętami stadnymi i każdy z nas jest w stanie oddać wolność i indywidualność za przynależność, a co za tym idzie — bezpieczeństwo. Tym ochętniej uczynią to zakompleksieni chłopcy z brudnych dzielnic lub z patologicznych rodzin, którzy nie widzą swojej przyszłości w jasnych barwach. Jedynej szansy na podniesienie własnej wartości upatrują w przynależności do silnej grupy, gdzie brzemień własnego „ja”, niewartego uwagi „ja” zostaje zastąpione przez „my”. My kibice.

Następnym razem, kiedy ujrzyście migawki w TV, w których pseudokibice z ochraniaczami na zębach, w czarnych kominiarkach szarżują na siebie ze sztacetami, pomyślcie przez chwilę o nich, jak o rycerzach... błędnych cervantesowskich rycerzach, którzy walczą z wiatrakami. Z własną tożsamością.